

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 28 sierpnia 1909 r.

№ 35.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

24

Powieść historyczna.

VII.

Jeszcze Warszawa nie zdołała ogarnąć wypadków, przeżytych na noc z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty listopada, jeszcze z pierwszego wzruszenia nie zdołała ochłonąć, jeszcze zgłiszcza pożarów, podpalonych żagwiami rewolucyi, skrami syczały, jeszcze zamęt i popłoch ubezwładniał mężów i statystów, od których spodziewano się przewodu, czynu doniosłego, wzięcia z rąk odważnych dzielnych, lecz niedoświadczonych, młodzieńców sztandaru narodowego,—gdy już Litwa drgnęła, zatrzęsła się w posiadach, gdy już nad brzegami Niemna rozległ się okrzyk: „ida!”—gdy już okrzyk ten korytem Dźwiny spłynął, a porohom dnieprowym echami zagrał.

Kto pierwszy na Litwę z wieścią o rewolucyi przybył, kto tę wieść lotem błyskawicy rozniósł po kresach—tego ani dociec, ani zbadać, to na wiek wieków pozostać miało tajemnicą.

Daremnie wileński gubernator wojenny dławił w sobie nowiny, odebrane przez kuryera generała Kuruty, daremnie obwieszczeniami urzędowemi o nieporządkach, wynikłych w Szkole podchorążych, chciał uspokoić opinię, daremnie strzegł się wyjawiać dowódcom za-

łóg wojskowych istotną przyczynę alarmu,—wiadomości nie tylko parły, nie tylko nie dały się zbić z tropu, ale sięgały dalej, niż oschłe, skąpe depesze, przywożone gubernatorowi Chrapowickiemu przez posyłki huzarskie. Główna kwatera naczelnego wodza do ostatniej chwili mówiła o jakowychś, między polakami wynikłych walkach, o buncie wojskowym, który atoli nie ogarnął wszystkich pułków, o licznych a wzruszających dowodach wierności ze strony polaków, o potrzebie zarządzenia środków, któreby pozwoliły Królestwu przetrwać burzę wewnętrzną, o zupełnem bezpieczeństwie osoby dostojnej naczelnego wodza, o surowym nakazie, aby ani stojący nad Bugiem korpus Rozena, ani żaden inny oddział nie ważył się przekraczać granic Kongresówki, ani podejmować żadnych kroków, mogących dać pozór nieprzyjacielskich zamiarów.

Stąd gubernator Chrapowicki, pozbawiony nadto przebiegłych rad nieobecnego w Wilnie Nowosilcowa, nie wiedział, jak sobie poczynić, aby i wódza naczelnego litewskiego korpusu zadowolnić, i usposobienie stolicy przeczuć i ludności się nie narazić, ile że minister Lubecki, w drodze do Petersburga, wręcz zapowiedział Chrapo-

wickiemu, że jedzie u stóp tronu żądać nie tylko zagwarantowania Królestwu pełni praw, przyznanych przez kongres wiedeński, ale i konstytucyi dla pozostałych ziem, do Rzeczypospolitej należących, i że ustanowiona w Warszawie dyktatura w imieniu monarchy rozporządzenia wydaje. Gdy zaś nakoniec, po dziesięciu dniach zamętu i niepewności, feldjeger za feldjegerem jął gubernatorowi zgolać wyraźne rozkazy przywozić, a największą czujność zalecać Litwa już drżała, już gorzała, już gotowała się do powitania polskich pułków.

Chrapowicki całą energię rozwinął. Setkami ostrzeżeń i gróźb na głowę podwładnych mu powiatów rzucił. Rygorami stanu wojennego każdy odruch, każdą myśl buntu, powstania, krnąbrności, niełojalności usiłował stłumić w zarodku. Naprawdę.

Nakaz odbierania broni wszelkiej wywołał gromadzenie wszelkiej broni i tem lepsze jej ukrywanie; banicya znanych ze swego porywczego patryotyzmu obywateli wzmogła odwagę ociężałych; usuwanie z korpusu litewskiego oficerów polaków i litwinów w głąb Cesarstwa nieciło w tychże oficerach chęć zaciągnięcia się do bratnich szeregów; fałszowanie prawdziwych nowin, nadchodzących

z poza granic Kongresówki, spotęgowano nieufność do urzędowych wiadomości i szukanie prawdy za pruskim kordonem; poddanie młodzieży kontroli potrójnej straży argusów jeno wzmogło jej wrzenie.

Nawet i ruch naciągającego wojska, nawet mrowie żołnierzy, śpieszących zewsząd do punktów zbornych, nawet widok potężnej armii, kroczącej ku Wiśle, nie zdołał ostudzić zadufania ziem zaniemeńskich.

I cóż bo znaczyć mogła ta armia, co zaważyć wobec polskiego wojska!—wobec tego wojska, którego sprawność i tegość była dziwowskim całej Europy, które za wzór i przykład stawiano, a które dziś na czele swem ma wypróbowane męstwo, ma pragnienie święte, ma zapał całego narodu, ma podwojone ochotnikami szeregi, ma krocie pospolitego ruszenia, które wyległo, jako jeden mąż, z chat, dworów i dworków na dokazywanie cudów waleczności, na zwyciężanie, na miążdzenie.

I ta wiara głęboka Litwy nie była ani lekkomyślną, ani niewyrozumowaną. Toć i generałowie rosyjscy nie taili swych obaw o wyznik rozpoczynanej kampanii, toć i oni doceniali siłę wielką nieprzyjaciela, toć i oni wzrosli i wychowali się w poczytywaniu polskiego wojska za niedościgniony ideał sztuki militarnej, toć i oni trwożyli się, czyli Dybicz Zabałkański sprosta zadaniu, czyli bodaj drogę za Bug zagrozić zdoła.

Armia rosyjska szła, zwieriała się w kolumny, coraz mocniejszy sierp zataczała, coraz śmielej ku Warszawie zdążała. A ziemie zaniemeńskie precz krzepiły się przeświadczeniem, że lada dzień, lada godzina, lada sekunda, cała armia Dybicza runie w popłochu, że lada godzina na drodze do Wilna za-furkoczą ułańskie chorągiewki i pomkną w zwycięskiej szarzy hen, aż za Telsze, za Dźwinę, za Borysów, za Słuck.

A ziemie zaniemeńskie i tego spodziewania nie wzięły z urojeń. Wszakci i na ziemiach zaniemeńskich nie brakło dawnych żołnierzy, którzy w sztabach napoleońskich nauczyli się tego, co w planie wojowania jest nieuniknionem posunięciem na szachownicy, wszak i na ziemiach zaniemeńskich było zadość mężów, zdolnych ogarnąć doniosłość wypadków warszawskich i cel ich przeniknąć.

Wybuch rewolucji w Królestwie był i musiał być następstwem od dawna nurtujących pragnień, aby swobody konstytucyjne i dla ziem zaniemeńskich osiągnąć i do dawnej z nimi jedności powrócić. Z tą zasadniczą dążnością mogły się łączyć i inne pobudki, mogło sekundować jej kuszenie się o zdobycie pełnej niepodległości, lub też chęć zupełnej samodzielności pod tem samym berłem—ale nade wszystko rewolucya podjętą została na rzecz ziem zaniemeńskich.

Na ten koniec pierwszym od-

ruchem wojska polskiego musi być marsz za Bug, za Niemen, na unieruchomienie całych dywizji rosyjskiego wojska, na pomnożenie własnych sił, na opanowanie Wilna, Kowna i Grodna, na wydarcie Dybiczowi magazynów wojskowych, rozbicie go na części i zmuszenie do odwrotu, do paktu.

Tak rozumowano na ziemiach zaniemeńskich i wypominano żywy przykład kampanii roku tysiąc ośmset dziewiątego, kiedy to, za radą Dąbrowskiego, ustąpiono po bitwie raszyńskiej Warszawy austryakom i przeniesiono pole walki w granice austriackich posiadłości. Plan ten świetnie się powiódł, choć w gorszych niż obecnie podjęty był warunkach.

Minął tak grudzień i połowa stycznia. Niecierpliwość rozżarzała umysły. Wysłani do Warszawy emisaryusze przepadali bez wieści. Wzmocnione kordony pograniczne coraz więcej utrudniały przewożenie gazetek, a gazetki same takie dziwy rozpowiadały, że ani pojąc, ani dociec, co zgromadzone pod Warszawą wojsko zamierzają, dla-czego Chłopicki rzekł się dyktatury, skąd człek tak schorzał, jak Radziwiłł, naczelnie dostał dowództwo, o co izby poselska z senatorską się spierają, o jakich to warchołach i jakobinach była mowa, dla-czego ułatwiono ucieczkę Lubowidzkiemu, co znaczy potępianie „ruchawki“ i zalecanie niemieszania się do spraw wojskowych. DCN.

Z bajek i opowieści Kr. F. Gellerta.

Zielony osioł.

Jakże często się w życiu taki przykład widzi,
Ze głupiec głupią sztuką stu głupszych zawstydził..

Neron był sprytnym błaznem z głową rozwichrzoną:
Pomalował raz ośła swego na zielono,
A nogi mu cynobrem wytarł aż do brzucha
I takiego po mieście wodził długoucha.
Za nim tłum gapiów snuł się z krzykiem i hałasem.
„Co za dziwo!—wołając dyszkantem i basem.
„Patrzajcie!.. cud natury!.. na ośłów miliony
„Ten ma nogi czerwone, a tułów zielony!
„Przecież to dla przyszłości kronikarz wymowny
„Zapisać, że był u nas osioł tak cudowny!“

Podziwnad kolorowym ośłem z każdą chwilą wzrastał,
Każdy go chce zobaczyć; tłoczy się pół miasta
Po ulicach i placach, drugie pół w rozmachu
Lezie na drzewa, z okien spogląda i z dachu,
Wszystkich szła ciekawości unosi, rozpała,
By zielonego ośła obaczyć choć zdala,
Choć kawałek ogona dojrzeć, choćby udo;

O osle całe miasto mówi: „Cudo!.. cudo!“
Pełni zachwytu młodzi, podziwienia starzy,
Zaden temat nie zdoła nastroić tak wzniośle
Uczuć tłumy, jak wzmianka o zielonym osle.
Aż dwie doby spędzono w tej osłej malignie...
Aliści dnia trzeciego zapał nagle stygnie,
Równie szybko upadła, jak i szybko wzrosła
Ciekawość dla biednego zielonego ośła;
Przestano nawet mówić o głupim osłatku,
Co budziło tak wielki zachwyt na początku.

Otóż tak to, niestety, bywa z każdym tłumem!..
Niech się rzecz jaka klóci z sensem i rozumem,
Niech się w niej jawne głupstwo pod osłoną chowa—
Tłum ją przyjmie z podziwem dlatego, że nowa.
Nie pomogą przestrogi zdrowego rozsądku,
Tłum nawet szaleć gotów w zapale z początku,
Ale czas, mistrz nad mistrze, i mędrszy od ludzi
Zapał i zachwyt głupców powoli ostudzi,
Czy chcą, czy nie chcą, muszą rozumu nabywać,
Bo czas ma dar szczególnie głupich przekonywać.

„.

MARZYCIEL.

32

Zapłakał i wśród gorących łez wyciągał rozłęcznione ramiona ku gwiazdom, w przestrzenie, tam gdzie gdzie tak leciały wszystkie pociągi, gdzie tak rwało się jego sieroce serce, gdzie tak ponosiły go marzenia...

A kiedy rano zbudził go woźny wołaniem, że pierwszy osobowy już wyszedł i przy kasie czeka dużo pasażerów, zbuntował się nagle i krzyknął rozszróbony:

— Nie pójdę na służbę! Niech całą koleją cholera zatłucze! Powiedz, że jestem chory!

I pierwszy raz, odkąd był na kolei, nie poszedł na służbę, przewrócił się na drugi bok i tak mocno zasnął, że nawet go nie zbudziły gwałtowne dobijania się Magdzi.

Dopiero w samo południe otworzył oczy i leniwie wyciągnął rękę po książkę, ale tknięty jakąś nadzwyczajną myślą, śpiesznie wyskoczył z łóżka, ubrał się, zapakował wspinał walizę, gęsto upstrzoną kolorowymi adresami hotelów całego świata, i chciał niepostrzeżenie wymknąć się z domu, ale p. Zofia już czyhała w uchylonych drzwiach i wciągnęła go do przedpokoju.

— Co się stało? Możesz chory? Tak się strasznie bałam! Magdzia nie mogła cię dobudzić...

— Dostałem pilną depezę, jadę do Warszawy i wrócę jutro rano. Do widzenia, pociąg już...

— I nawet mnie nie pocałujesz? szepnęła z wyrzutem, zarzucając mu ręce na szyję.

Spłoszył ich Soczek, który ryknął w głębi mieszkania.

— Magdzia! Zośka! Buty dawajcie!

Pociąg już stał pod peronem i chmary żydów tłoczyły się do niego z wrzaskiem. Józio chyłkiem przedostał się do wagonu i pojechał, ale całą drogę przepędził na korytarzach, spacerując nieustannie po całym pociągu.

Wagon trzeciej klasy były nabite i pełne dymu i szwargotów; w drugiej jechało znacznie mniej

osób, a pierwsza była prawie pusta, tylko w jednym z przedziałów zbierali się konduktorzy w przerwach między stacyami, rznęli w karty i zjadali się kłócili.

Pociąg leciał jak oszalały i z przesywającym świstem przelatywał małe stacyjki, zatrzymywał się na większych, wyrzucał pasażerów, nabierał nowych i znowu pędził całą siłą pary, rozwłócząc za sobą skłębione, czarne smugi dymów.

A Józio, niby automat, wciąż spacerował po pustych korytarzach i przez powywierane drzwi do przedziałów przyglądał się nieznanym twarzom i słuchał rozmów przygłuszanych nieustannym hukem kół. Ale w trzeciej klasie było mu za brudno i za ciasno a przytem jakiś podpity drab grał na harmonijce i wściekle przytupywał; w drugiej było mu znowu za nudno, gdyż wszyscy siedzieli z uroczystemi minami, rozmawiali szeptem, jakoś nieufnie spoglądając na niego; wracał więc do pierwszej, otwierał okno i przez dłuższą chwilę włożył oczami po zaśnieszonych polach, zamkniętych granatową, daleką linią borów. Wiosnę już było czuć w powietrzu, słońce świeciło jasno, przejrzyste chmury białymi puchami leżały na lśnącym, błękitnym niebie, po nagich drzewach świergotały wróble, a wilgotny, rzeźwy wiatr chłodził mu zgorączkowaną twarz.

— Kogo rubelek śwędzi, niech do sztosika popędzi!

— Ignac, a stasuj uczciwie, żebym ci znowu na cyferblat nie wjechał towarowym!

— Bez komplementów! Zebrać! Przeciąć! Gotowe! Kto ze mną jedzie za gotówkę?

— Walę w piąteczkę, oczko dziesięć kopiejeczek!

— Rubelek stoi na damie! Syp Ignac, na całego, cholero z marcepanem!

— Piąteczka, moja! Płacić! Ósemka, moja! Nóżki na stół! Dama

kładzie się sama! Gotówka!—wykrzykiwali za jego plecami konduktorzy, odsunął się od nich z głębokim lekceważeniem, a ponieważ właśnie minęli przedostatnią stację, zamknął się w pustym przedziale, otworzył walizę i przebrał się w nadzwyczajny, podróżny kostyum: włożył workowate nieprzemakalne palto, zawiesił na brzuchu podróżną lornetkę, nadział płaską angielską czapkę, wsadził na nos binokle i skoro tylko pociąg przystanął, wyskoczył na peron. Był tak jaszkrawo pokratkowany, że natychmiast otoczyli go taragarze. Oddał im walizę i łamaną polszczyzną rozkazał sprowadzić dorożkę i zawieźć się do Europejskiego hotelu. Sprawiało mu głęboką przyjemność udawanie anglika, więc jak prawdziwy cudzoziemiec, rozglądał się z dorożki po ulicach i domach.

W hotelu nie mógł się porozumieć, aż musiano sprowadzić tłumacza. Zapisał się w książce przyjeźdźnych jakimś angielskim nazwiskiem, i uprzedziwszy, że może będzie zmuszony wyjeżdżać jeszcze dzisiaj w nocy, kazał się zaprowadzić do kawiarni.

U Loursa było już tak natłoczone, że z trudem znalazłszy wolny stolik, bardzo głośno po angielsku polecił garsonowi podać sobie wody sodowej z whisky i ostatniego Times'a. Zwrócił na siebie ogólną uwagę strojem i angielszczyzną. Przy sąsiednich stolikach robiono już o nim złośliwe uwagi, a jakieś srodze wymalowane damy uśmiechały się do niego słodko,—ale mężnie znosił wszystko, ze sztywną wyniosłością, i nawet nie drgnął, gdy któraś powiedziała głośno, przyglądając mu się przez pince-nez:

— Ubrany jak August z cyrku, ale śliczny chłopak.

— Może jaki akrobata, lub żongler!—zauważyła druga.

Skończył Times'a i przeprowadzany rozciekawionymi oczami, wyszedł na ulicę.

Modry zmierzch sypał się na miasto, zapalano latarnie, wystawy sklepowe kładły szerokie pasy światła na trotuary zapchane publicznością, brzęczały setki przelatujących sanek.

Józio, nieco oszołomiony gwarem i ruchem ulicy, szedł coraz wolniej i obojętnie a zgóry spoglądał na przechodniów. Na rogu Królewskiej przyczepiła się do niego jakaś wiedźma w łachmanach z rozpląkanem dzieckiem na rękę, odsunął ją wyniosłym gestem. Potem chłopak z gazetami zaczął zastępować mu drogę i wykrzykiwał:

— Kur! Warszawski! Go! Wiczorowy! Niech wielmożna osoba kupi! Może jaśnie pan hrabia...

Józio zaklął, gdyż płatał mu się pod nogami, chłopak odskoczył i zawrzeszczał:

— Małpa pokratkowana! Pomaluj się na zielono burżuju jeden!

Zacisnął tylko zęby i szedł dalej równym, spokojnym krokiem. Zaczepiały go dziewczyny, przechodził sztywno, jakby mówiły nie do niego; sankarze wlekli się za nim natarczywie, zapraszając do przejazdki, patrzył przed siebie jakimś szklanym wzrokiem, prawdziwie po

angielsku, jak mu się zdawało. Włóczył się tak bez celu przez parę godzin, wstępując tylko do każdej większej kawiarni, aby zaimponować kostyumem, angielszczyzną, i wodą sodową z whisky. Wszędzie też efekt był jednakowy, budził bowiem pewną sensację, przyciszone szepty, ciekawe spojrzenia i bardzo złośliwe uwagi.

— Głęboka prowincya! Wstrętna dziura! — myślał wzgardliwie o Warszawie i niósł dalej swoje pokratkowane korty i kiepską angielszczyznę.

DCN

Juliusz Zeyer.

STRATONIKA.

Fragmēt z helleńskieĳ romantyki.

2

— Cóż ci mogę rzec o niej, mój przyjacielu, nad to, że jest dla mnie zupełnie niepojęta? To jednak jest mi tylko wiadomem, że boleść i troska o mego Antyocha do grobu mnie wpuędza. Jeżeli umrze, niedługo odejdę za nim, bowiem wszystko, co mi pod słońcem najdroższe, zamrze wraz z nim.

Król milczał chwilę, poczem tak prawił dalej:

— Antyoch, jak ci wiadomo, jest dziecięciem mej młodości, doby złotych moich snów, szczytnych wzlotów i bohaterskiej siły. Zrodziła mi go Apama, sogdańskiego satrapy Spitamenosa córka wspaniała. Spitamenos powstał był wtedy przeciwko nam i pierwszy rozpoczął wojnę; został jednak pokonany i zapędzony z powrotem w pustynię rozpalonych piasków, ziejącą, jak piec olbrzymi, żarem strasliwym powietrza, przesyconego cierpką wonią mirry. Sam Aleksander Wielki przeznaczył mi Apamę za żonę w on dzień, po wieki pamiętny sławą nie ginącą, kiedy boski on witez związek swój z córką króla królów w Suzach świętował. On sam, prawdziwy i jedyny król królów, on, który, ni by słońce, powstałe na zachodzie, niósł się ku zorzy tajemniczego wschodu, podobny orłu, podobny nieśmiertelnym, olimpijskim bogom! Te oto dnie, spędzone w Suzach, dnie pełne boskiej sławy, w przepych niesłychanej bogate, były koroną jego zwycięstwa, nagrodą za jego trudy, walki, udrękę i cierpienia, a zawierane przez nas, obecnych tam greków, małżeń-

stwa z córkami ksiąząt Wschodu, były niejako symbolem onego związku helleńskiego ducha z groźną persów wielkością; były jakoby spójnią żywiołu zachodniego z wschodnim, były apoteozą nowo-tworzącego się świata, którego ogromne, potężne i śmiałe pojęcie było gwiazdą przewodnią całego życia wielkiego królabohatera. O, z jakąż radością wspominał teraz te ubiegłe chwile! Jakże silnie dziś jeszcze serce me uderza na wspomnienie tego znamienego dnia, darzącego świat obietnicą wielkiego szczęścia, które już nigdy się nie spełni! W młodości bowiem, w sile swych lotów podniosłych, zmarł Aleksander, ten ze wszystkich śmiertelnych jedyny, który oną obietnicę szczęścia, wszystkie ludzkie przechodzącą siły, był mocen urzeczywistnić. Ach, przyjacielu! Iluż wspomnień jesteś pozbawiony, iżeś wtedy wraz z nami nie był w Suzach obecny! Namiot Aleksandra, z ciężkich materyi jedwabnych sporządzony, spoczywał na pięćdziesięciu słupach, złotem i drogami kamieniami ozdobnych, i całe cztery stajania sobą obejmował. Na kobiercach, barwnych ni by łąki, kiedy z wiosną wszystkimi kwiatami rozbłysną, a od piór łabędzich miększych, stał złoty jego tron w otoczeniu krzesel z sandałowego drzewa i kości słoniowej, na srebrnych nogach wspartych, które dla nas, stu szczęśliwych oblubieńców, były przeznaczone. Na odgłos bronzowych rogów namiot wypełnił się satrapami królewskimi i podwładnymi książętą, którzy długim roz-

ciągnęli się korowodem, błyszczącym przepychem szat powłóczystych i zbroic bogatych blaskiem. Tuż za nim postępowaliśmy my, młodzi, hardzi, szczęśliwi, płasający zwycięzcy. Obrzęd się rozpoczął. Z tysiąca złotych puharów płynęły bogom objaty, a przy akompaniamencie niewymownie słodkiej i marzącej wschodniej melodyi zbliżał się ku nam orszak niewiast, wedle zwyczaju persów osłoniętych zawojami. Obłok woni niósł się przed nimi, a blask pereł, szmaragdów i rubinów, promiennosc ich szat złotogłowiu rozpylały się niemal dokoła zorzą zachodzącej słonecznej jasności. Pełne wdzięku, ni by gازه płochliwe, przechodziły strwożone poprzek wysokim tronem królewskim. I oto z rąk Aleksandra, boskiego zwycięzcy, otrzymał każdy z nas niewiastę, latorośl królewską, cudną w piękności swojej osłonięciu. I zdało się, że radość, szczęście, bogactwo i sława spadły nagle deszczem promiennym z wysokich niebios na ziemię i że nastala nowa, najszczęśliwsza era ludzkości. Tak tedy Apama sogdańska została moją.

Król zamilkł i duszą w wspomnieniach radosnych się pograżył.

— Czyliż spełniły się nadzieje dnia onego?—przerwał ciszę pytaniem swem Erazystros. — Pozostałaż dla ciebie błogosławieństwem żona twa aż do chwili, kiedyś w smętku na pogrzebowym stosie ją położył?

— Apama—odrzekł król— pozostała dla mnie zawsze tem, czem była w pierwszym onym dniu: zagadką!

Piękność jej była cudem, miłość jej szałem i upojeniem; ale ono zamazanie, które wyzierało ciągle z tych tęsknych i ciemnych jej źrenic otchłani, pozostało dla mnie na zawsze niezbadaną tajemnicą, jako ten Wschód mistyczny, któryśmy wtedy zdobyli i nad którym władamy, ten źródło głęboki naszej sławy, bogactwa i mocy naszej, jest nam po dziś dzień niezrozumiałą. Apama również nigdy nie mogła mnie zrozumieć; nie przyczyniło się to jednak wcale do osłabienia mojej ku niej namiętności. Od pierwszego onego dnia, kiedy zawój zdjąłem z jej oblicza i pas z jej bioder odpiąłem, aż do rokowej onej godziny, kiedy ją, młodą jeszcze, na stosie z wonnych drzew złożyłem i pogrzebałem w szkarłatnych płomieni mogiły, panowała nad zmysłami moimi wszechwładnie.

Ten ciemny ogień jej tęsknych, wilgotnych źrenic, ta ich moc czarodziejska płonie, o Erazystacie, w oczach syna mego. Sogdańska księżna, piękniejsza i bardziej tajemnicza, aniżeli biała światłość miesiąca, co ponad złotymi piaskami pustyni, ponad lazurami i purpurowymi góry barbarzyńskiej ojczyzny jej świeci,—córa Spitamenesa, kapłanka wszystkiej wiedzy świadoma dawnych magów, mocnych zrywać gwiazdy z płaszcza wspaniałej nocy—Apama od dawna już wproch się rozpadła. A przecież bezustannie serce me pęta zagadkowym czarem i, patrząc na mnie oczyma syna mego, po dziś dzień losem moim władnie. Niedawno drugą pojąłem małżonkę—i od dnia tego nowego związku poczęło się moje nieszczęście — choroba mego syna. Oh, przyjacielu, ponure, straszne myśli mą duszę opadły i nie mogę znaleźć od nich wyzwolenia. Zda mi się, że oto powstał z Erebu cień namiętnej córki barbarzyńskiego narodu, aby mnie za poniechanie jej pamięci najokrutniejszą zemstą przesładować. Kto wie, czy nie chce mnie pozbawić syna i wabi go ku sobie w zaświaty, abym za karę pozostał opuszczony i samotny? Kto wie, czy jako upiór nie zjawia się wśród nocy, gdy wszystko bezwładne w uśpieniu, spoczywa i nie wysysa wrzącej jego krwi i młodzieńczej siły?

Ileż to razy słyszałem z własnych jej ust o podobnych straszdyłach, gdy opowiadała prastare podania swej ojczyzny, pełne tajemnic i grozy. A jaką bezgraniczną zemstę zapowiadały te zagadkowe źrenice za lada cień, za lada myśl niewiary! Tak, do niej—do

niej jedynie powinny należeć na zawsze: dusza moja, krew moja i każde serce uderzenie! Za to się mści... Potrząsasz głową z niedowierzaniem?—Któż jednak przejrzał do dna wszystkie tajniki obydwóch onych światów—świata ciemności i tego słodkiego, słonecznego świata! Jeżeli w słowa moje nie wierzysz, wyjaśnij mi tedy tę nagłą zmianę, jaka zaszła w życiu Antyocho. Był jako palma nad wodami jasnymi rosnąca, a teraz?.. Leży jak drzewo, zwalone w gorącym piasku pustyni!..

Zapanowało milczenie, przerywane jeno płaczem Seleuka.

„Czy syn był przeciwny temu związkowi?—zapytał lekarz króla, gdy ten się nieco uspokoił.

— Nie. Wiedział, że względy mego państwa i konieczność utrwalenia umowy mej, zawartej z Demetryuszem, znagiły mnie do tego. Kiedy Demetryusz córkę swą do Syrii był odprowadził, Antiochos udał się wraz ze mną na przyjęcie mojej narzeczonej. Zdawało mi się, co prawda, że ona bladeść jego i posępność są wynikiem zazdrości, że boleje nad tem, iż nie będzie dla mnie, jako dawniej, wszystkim i jedynym na świecie—ale rychło poniechałem tej myśli, widząc uprzejme, życzliwe, braterskie niemal jego postępowanie względem mej małżonki. Sądziłem, że z czasem wszystko się ułoży, wyjaśni, wyrówna... ale kiedy coraz smutniejszym się stawał, zapytałem go wreszcie, co tak gnębi i dręczy młodzieńca jego?.. Zdawał się pytaniami mojem jakoby jeszcze bardziej przygnębiony,—w końcu jednak taką otrzymałem odpowiedź:

„Cięży mi nieczynność moja! Ty w moim wieku świat zdobywałeś z Aleksandrem — a ja? poco ja żyję? O, dlaczego dawno już wykonałeś wszystko i nic nie pozostawiłeś dla mnie do działania! Pozwól mi chociaż oddalić się stąd—pozwól mi podróżować po niezmiernych onych włościach, które kiedyś do mnie mają należeć. Może zdołam jeszcze gdzie w jakikolwiek sposób stać się użytecznym! Byłem pocieszony tem wygłoszonym przez niego żądaniem. Niezadługo jednak miałem się przekonać, jak płonna była ona radość moja. Antiochos podróżował... A z tych oddalonych i tajemniczych krain, które ojczyzną były jego matki, przysłał mi w krótkim czasie list, który niby piorun z jasnego nieba ugodził we mnie. — „Wybacz ojcze—pisał—że powracam, ale czuję, że umieram. Przeto chciałbym ostat-

nie chwile spędzić przy tobie, który byłeś i jesteś dotąd bóstwem cierpiącej mej duszy.“—A kiedy go ujrzałem zapadającego w otchłań grobu, runęły natenczas wszystkie me nadzieje i rozpadło się szczęście życia mego. O, Erazystacie, przyjacielu mój! ty mi go wiedzą swoją pod złotą światłością słoneczną zatrzymaj, albowiem, jeśli umrze, odejdę wraz z nim w cień wieczny, na stosie spłonę obok niego!

Lekarz był wielce wzruszony mową zrozpaczonego króla — miłował go bowiem szczerze i serdecznie. Znali się jeszcze za czasów wczesnej młodości, w Macedonii, zanim Seleukos z Aleksandrem do Azji popłynął, podążając za błękitnym majakiem świat zdobywającej sławy, za nęcącym złotem widmem niesłychanego szczęścia. Później i Erazystatos przyłączył się do armii wielkiego zwycięzcy perskiego, ginącego świata — i przyjaciele spotkali się znowu już jako mężowie siły i czynu. Wiele wtedy przecierpieli razem i niejedną wspólną przeżyli radość. Wtedy to oplakiwali w Babilonie skon Aleksandra, niknącego z wielkich dziejów widowni w najpiękniejszym rozkwicie młodości, sił i twórczej mocy, tak nieoczekiwanie, nagle i przedwcześnie.

W epoce krwawych zaburzeń, pułstoszących ród i państwo zmarłego króla, przyjaciele znów zostali rozdzieleni. Lekarz powrócił do Macedonii, gdzie w samotności pędził żywot, wiedzy poświęcony. W krótkim czasie atoli, powołany na dwór Ptolomeuszów, udał się do Egiptu, a następnie na stałe w Suzach zamieszkał.

I chociaż przyjaciele długo czasem nie widzieli się z sobą, nie zapomnieli o sobie i przyjaźń ich, aczkolwiek cicha, pozbawiona czułych wynurzeń i wylewów, pozostała zawsze szczerą i nieskażoną, jako za pierwszych dni ich poznania, kiedy jako dzieci spotkali się na dworze Filipa Macedońskiego.

Antiochos podczas podróży swej jakiś czas u Erazystata przebywał, który ani przypuszczał nawet, że tak prędko znów do niego wezwanym zostanie, jako najświetniejszy lekarz Helady, jako pomoc jedyna i ostatnia nadzieja zgnębnego króla—przyjaciela.

Teraz kiedy opowiadania druha swego wysłuchał—zapewnił go raz jeszcze o swej serdecznej względem niego i Antyocho miłości i zażądał, aby mu król do łóża chorego towarzyszył. Nie obiecywał niczego, ale dźwięk jego głosu i wyraz jego oczu miały

w sobie coś kojącego, budziły otuchę i nadzieję.

Król, posłuszny wezwaniu, powstał i obydwa mężowie udali się do komnaty chorego.

Antyochos spoczywał na niskim łożu z wonnego drzewa i bronzu, miękkimi zasłanem kobiercami. Komnata, w której leżał chory, była przestronna i chłodna i zdawała się być smutkiem przepelniona.

Cisza i półmrok panowały w niej nieprzerwanie, albowiem wszystkie otwory na światło zawieszono zasłonami, oprócz jednego, nawprost łoża,

który wychodził na rozległą, modrą przestrzeń poza rzeką, ponad ciemne cyprysy i połyskliwe laury ogrodów i gajów. Komnata była prawie pusta. Gdzieniedzie jeno stało krzesło, przy łożu chorego mały stolik, którego blat, zastawiony rozlicznymi naczyniami ze srebra i kryształu, podtrzymywały pięknie rzeźbione i wdzięcznie wygięte nogi z kości słoniowej. W oknie skrzył się wielki wazon z błyszczącego bronzu, a szlachetny jego kształt rysował się ostrym konturem na modrem tle słonecznej krainy. Z podłóżnej, smukłej jego szyi pięła

się jedna tylko wysoka i rozgałęziona latorośl, białym i gwiazdzistym obciążona kwiatem.

Antyochos blady i piękny, z przymkniętymi napoty oczyma, z wyrazem głębokiego smutku na nieruchomej twarzy, tak cicho spoczywający na kobiercach, zdawał się podobny umierającemu Adonisowi, nad którym Cypryda, łamiąc ręce, stała bosa, złotych włosów promieniami zasnuta, i łkała rozpacznie: „Ty odchodzisz, odchodzisz do Acherontu, a ja, nieszczęsna bogini, będąc nieśmiertelną, podążę za tobą nie mogę!”

DCN.

Robert Michens.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

34

Myślała o nim ze smutkiem, ale — rzecz dziwna — bez odrobiny pogardy albo poniewierki. To, co od innego mężczyzny byłoby jąprzejęło na pewno zniecierpliwieniem, jeżeli nie złością, od niego budziło w niej inne uczucia — ciekawości, współczucia, grozy.

Tak — grozy. Tego wieczora poznała to. Długi dzień, rozpoczęty w półmroku przed wschodem słońca i kończący się w półmrokach zmierzchu, wraz z wydarzeniami, które dla kogo innego zdałyby się zwykłymi i nawet pospolitemi, przemógł ją na teren jakiegoś pielgrzymstwa wzruszeń. Pół-osłonione przestrogi hrabiego Anteoniego i księdza, a potem późniejszy, prawie namiętny poryw księdza, jasno mówiący, nie mógł nie zrobić na niej wrażenia. Wieczora tego coś z Europy i jej życia światowego, z jej doświadczenia kobiety cywilizowanej i otrząskania się w stosunkach z ludźmi, wcisnęło się tu pod drzewa palmowe i świetne gwiazdy Afryki; i na przekór fatalizmowi, potępionemu przez księdza Roubier, była bardziej dziś, niż kiedykolwiek dotychczas, świadomą tego, jak inni — świat na zewnątrz — byłiby prawdopodobnie zapatrywali się na jej znajomość z Andrewsami.

Nadto, obok hrabiego Anteoniego i księdza stała jeszcze inna postać, postać wróżbiarza z piasku, którego lico umęczone przypominało człeka, patrzącego na los, który był straszny. Czyliż on także nie ostrzegał jej? Nie byłoż to ostrzeżenie potrójnem: od świata, od Kościoła i od pod-swiata — świata, który był za zasłoną?

Spotkała się ze wzrokiem Andrewsiego. Wstał i opuścił jadalnię. Ruch ten oderwał ją od rzeczy

widmowych, lecz nie oderwał jej od rzeczy świata.

Widziała wciąż siebie, obucaną wśród wydarzeń, z których jej świat byłby się śmiał lub którymby się dziwił, i, być może, po raz pierwszy w życiu była nieprzyjemnie świadomą własnej jaźni, która rozpostarła nad nią swą strażę, jak gdyby jaźń ta miała coś w sobie z satyra, który z niej szczydził i dziwił się jej.

XIV.

— Co to ja będę robiła dziś wieczór?

Pozostawszy sama w pustej jadalni zadała sobie teraz to pytanie Domini.

Po chwili wstała, westchnąwszy, i przeszła pod arkadę.

Batucz ukazał się nieszwłocznie, jak z pod ziemi wyrosły.

— Co można dziś oglądać, Batucz? — zapytała.

— Są kobiety maurytańskie, — począł.

— Nie, nie chcę.

— Może chcę pani posłuchać improwizatorów.

— Nie. Nie będę ich mogła rozumieć.

— Ja pani wytłumaczę.

— Nie.

Przystanęła na drodze.

— Dzisiaj jest księżyc, nieprawdaż? — rzekła, patrząc na niebo gwiazdziste.

— Tak jest, proszę pani, będzie później.

— O której godzinie wschodzi?

— Pomiędzy dziewiątą i dziesiątą.

Stała na drodze, rozmyślając. Przeszło jej na myśl, że nigdy jeszcze nie widziała wschodu księżycy w pustyni.

— A teraz — spojrzała na zegarek — zaledwie ósma.

Pani zobaczy księżyc, jak się wychyla z ponad palm.

— Nie mów tak wiele, Batucz, rzekła opryskliwie.

Tego wieczoru łatwe i cukrzonne pomysły poety męczyły ją, jak pobrzęki moskitów. Nawet obecność jego drażniła ją. Ale czyliż się mogła obejść dziś bez niego? Po chwili rzekła:

— Czy można się udać nocą w pustynię?

— Pieszko, proszę pani? Byłoby niebezpiecznie. Nie można zaręczyć, co by się mogło przytrafić nocą w pustyni.

Słowa te wzbudziły w niej chęć wyprawy. Był w tem urok — a może gwałtowność — niewiadomego.

— Można jechać, — rzekła. — Dla czegożby nie? Kto nas zaczepi, jeżeli będziemy konno i uzbrojeni?

— Pani jest odważną, jak pantera w lasach Dżurdżurahu.

— A ty, Batucz? Czy nie jesteś odważny?

— Ja, proszę pani, nie boję się niczego.

Nie mówił tego chępliwie, jak Hadi, lecz spokojnie i prawie przelotnie.

— A więc dobrze, nie boimy się oboje. Pojedziemy drogą do Tumbuktu i zobaczymy wschód księżycy. Pójdę na górę i ubiorę się.

— Pani weźmie rewolwer.

— Oczywiście. Przyprawdź konie na dziewiątą.

Kiedy przebrała się, było zaledwie kilka minut po ósmej. Pragnęła obecnie być już na siodle, rwać z kopyta po długiej, białej drodze pomiędzy palmami. Czuła potrzebę obecnie ruchu fizycznego i

poczęła chodzić szybko po werendzie—tam i z powrotem.

Żałowała obecnie, że nie kazała zaraz przyprowadzić koni,—czem bowiem ostatecznie wypełni czas, zanim nadejdą?

Kiedy skierowała się ku końcowi werendy, ujrzała zbliżającą się ku sobie białą postać. Kiedy nadciągnęła bliżej, poznała w niej Hadięgo. Miał on wyraz baczny, złośliwy, lecz razem i nieco tryumfujący.

W tej chwili była rada, że go widzi. Przyjął jej pozdrowienie z powodu wyzdrowienia i blizkiego małżeństwa z rodzajem filuternej wesołości, poznała jednak prędko, iż zbliżył się do niej z racyą pieniężną. Widząc, jak łatwo jego kuzynek zdobywa sobie grosz, zapragnął widocznie równie znacznie zniewolić fortunę. A pieniądze były mu obecnie szczególnie potrzebne ze względu na widoki małżeńskie.

— Czy nie chciałaby pani zobaczyć coś dziwnego i zachwycającego tej nocy?—zapytał po chwili, patrząc zukosa kącikami swych oczu złośliwych, które, jak to Domini mogła zauważyć, były skore do czytania myśli i gustów.

— Jadę tej nocy konno.

Spojrzał zdumiony.

— Nocą?

— Tak jest. Batucz poszedł po konie.

Twarz Hadięgo stała się jedną maską złego nastroju.

— Jeżeli pani pojedzie z Batuczem, pani zostanie zamordowana. W pustyni są zbójcy, a Batucz lęka się.

— Czy możemy zobaczyć to „coś dziwnego i zachwycającego“ w ciągu godziny? — przerwała mu.

Wesoły i filuterny wyraz powrócił odrazu na twarz przewodnika.

— Tak jest, proszę pani.

— Co to takiego?

Potrząsnął głową i zrobił pełny kunsztu ruch ręką w powietrzu.

— Pani zobaczy.

Długie jego oczy były pełne tajemnicy, ruszył ku schodom.

— Proszę, niech pani idzie.

Domini zaśmiała się i poszła za nim. Miała wrażenie, że bawi się w jakąś zabawę, i ciekawość jej wzmogła się. Zeszli po cichu na dół i wysłiznęli się z hotelu, jak dzieci, obawiające się, by nie były schwywane.

— Batucz pęknie ze złości. Będzie miał pełną gębę piany,—wyszeptał Hadi, chowając swą brodę i chichocząc po cichu do siebie.—Tędy, tędy, proszę pani.

Poprowadził ją prędko poprzez ogrody na ulicę Berty i dalej przez

cały szereg drobnych uliczek, aż wreszcie stanęli przed białym domem, przed którym na wzgórku rosły trzy palmy, wychodzące z jednego pnia. Poza domem było miejsce puste, a dalej rozłóg piasku i niskie zwały, ginące, jak obecnie, w ciemności nocy jeszcze bez księżyca.

Domini spojrzała na dom i na Hadięgo, i zastanowiła się, czy nie będzie nierozważnym iść dalej na ślepo.

— Co to takiego? — zapytała znowu.

Lecz Hadi odrzekł jedynie: „Pani zobaczy“ i zastukał swą chudą dłoń w drzwi. Po chwili otworzyły się i wielka twarz dziobata ukazała się w otworze, grube wargi zamamrotały coś szybko. Za tem twarz znów się wsunęła, drzwi otworzyły się szerzej, i Hadi polecił Domini wejść.

Po chwili wahania Domini weszła i znalazła się w małym podwórzu wewnętrznym, z posadzką taflową, z kolumnami, z wysoką w górze galeryjką z wyrzynanego drzewa, od której niezawodnie rozchodziły się mieszkalne pokoje. Na podwórzu, na poduszkach, siedziało czterech mężczyzn z błędami, oczyma, z obnażonymi ramionami i łydkami, i z długimi włosami staraganemi, przed fajerką, z której unosił się ostry i przejmujący zapach. Dwaj z nich byli bardzo młodzi, z bladymi, ascetycznymi twarzami i z oczyma znużonymi. Wyglądali na młodych kapłanów z Sahary.

W niewielkiej odległości, na czerwonej poduszce, siedziało małe chłopię, wieku około czterech lat, ubrane w żółte i zielone szatki.

Kiedy Domini i Hadi weszli na podwórze, ani jeden z mężczyzn nie spojrzał na nich; jedynie tylko dziecko wlepiło w nich powolnie swoje uroczyste oczy i patrzyło, przekręcając się na poduszce.

Hadi polecił Domini usiąść na jakimś dywaniku pomiędzy kolumnami, sam usiadł obok i począł skręcać papierosa.

Panowała cisza zupełna. Czterej mężczyźni patrzali na fajerkę, trzymając nozdrza nad wonnymi dymami, które snuły się w górę smużkami spiralnymi. Dziecię wciąż spoglądało na Domini. Hadi zapalił swego papierosa. A czas upływał.

Domini uczuła przyływ gwałtowny. Została naraz przeniesiona do tej tajemnicy zdrętwienia i unieruchomienia, która spadła na odmęt jej duszy, jak tchnienie nieznanne. Co osobliwie zdało się jej dziwnem i nienaturalnem, to to, iż mężczyźni, z którymi siedziała

w podwórzu tego samotnego domu, nie patrzyli zgola na nią, nie zdawali się całkiem spozstrzegać jej obecności.

Hadi wchłonał już aromat ich medytacji wraz z zapachem kadzidła, bowiem oczy jego straciły zwykłą złośliwość i stały się głęboko wzierającymi, jak gdyby patrzyły na minione stulecia, lub oglądały przyszłość daleką. Nawet dziecię poczyniło wyglądać starczo, jak gdyby znużone postami i czuwaniem.

Wraz z dymami, unoszącymi się z czerwonych węgli fajerki, urastał ostry zapach dziwnych wonności. Było w nich coś wyzywającego i pobudzającego, co było, jak dźwięk, i Domini dziwiła się, że czterej mężczyźni, siedzący nad fajerką i wciągający bez przerwy dymy, mogli pozostawać bez dostrzeżenia ich wpływu, gdy ona, jakkolwiek zoddali, czuła podstępującą żądzę ruchu, czynu, prawie potrzeby fizycznej powstania i zrobienia czegoś niezwykłego, nierozważnego lub porywczego, czegoś, czego dotychczas nie robiła i o czem nigdy nie śniła.

Głuche wycie, jak wycie dzikiego zwierzęcia, rozdarło ciszę. Na razie Domini nie mogła zdać sobie sprawy, skąd ono pochodzi. Spojrzała na czterech mężczyzn, lecz oni wpatrzeni byli wciąż błędnie w fajerkę, z rękoma bezwładnie zwisłymi na podłodze. Spojrzała na Hadięgo. Lecz on odrywał delikatnie bibułkę papierosową z małej książeczki. Dziecię—nie, śmiesznie było nawet pomyśleć, iż dziecię może taki dźwięk wydać.

I znowu coś zawyło, jeszcze bardziej dziko, i tym razem Domini spozstrzegła, iż dźwięk ten pochodził od najbliższego z ascetycznie wyglądających młodzieńców. Odrzucił on w tył swe długie włosy, powstał skokiem na nogi, i odbiegłszy na środek podwórca, patrzył okrutnie na swych towarzyszy.

Jak gdyby w odpowiedzi na to spojrzenie, dwaj z nich przeciągnęli w tył ręce, znaleźli tam dwa tam-tamy i poczęli uderzać w nie głośnie i jednostajnie.

Młody asceta skłonił się ku tam-tamom, opuszczając swą dolną szczękę i podskakując gołymi nogami. Znowu pokłonił się, jak gdyby oddając cześć jakiemuś bożkowi, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Kłaniał się tak bezustannie tam-tamom, wciąż odbijając się zgrabnie z podłogi.

Długie jego włosy spadały mu na twarz i na ramiona z prawidłowo-

wą jednostajnością, która była do taktu z uderzeniami tam-tamów, jak gdyby pragnął życie swe zlać w jeden akord z bożyszczem, któremu składał pokłony. Płatki piany wystąpiły na jego wargi, a ascetyzm w jego oczach ustąpił miejsca blaskom zwierzęcym. Całe ciało jego rozwinęło się w długie, węzowe kołysania, ponad któremi falowały jego długie włosy.

Po krótkiej chwili drugi młodzian, poruszający się uroczyście, jak ksiądz przy ołtarzu, przekradł się ku skrajowi podwórca i powrócił stamtąd z dużą skrzywioną taflą szkła.

Nie patrząc na Domini, zbliżył się do niej i złożył jej szkło w rękę.

Gdy tancerz zobaczył szkło, przystanął spokojnie, zawył znow dziko i okrutnie, upadł na kolana przed Domini, oblizał wargi, a potem rzuciwszy się gwałtownie twarzą, chwycił zębami taflę szkła, odkaśił duży kawał, zgryzł go z głośnym chrzęstem, połknął jednym łykiem i zawył o więcej. Domini podsunęła mu znowu taflę, pod-

czas gdy tam-tamy werblowały i dziecię na czerwonej poduszce patrzyło bacznie znużonymi oczyma.

A gdy już nakarmiła go do syta i już tylko kawałek szkła pozostał w jej palcach, tancerz padł na ziemię i leżał, jak gdyby w zdrtwieniu.

Zatem drugi młodzieniec skłonił się tam-tamom, podskakując zgrabnie na posadzce, zawył, błysnął pianą w ustach, wciągnął dymy kadzidelne, wstrząsnął swą długą grzywą i stopę nagą złożył na czerwonych węglach fajerki. Wyjął węgiel czerwony i obwinął go dokoła językiem. Kładł węgle płonące pod pachy obnażone i trzymał je tam, przyciskając ramiona do boków. Wziął węgiel czerwony i włożył go w ocozdół, jak monokl. I przez cały ten czas skakał, pieniał się i klaniał, jak wąż, przewijając swe ciało.

Dziecię wciąż patrzyło na nich z powagą, i tam-tamy bez przerw tępniły.

Z górnej galeryi spoglądały na dół umalowane twarze, lecz Domi-

ni nie widziały ich. Cała jej uwaga pochłonięta została przez młodych kapłanów Sahary. Tak bowiem nazywała ich w myśli, stwierdzając, iż byli to fanatycy religijni, których półobłąkańcza gorliwość wprawiała w zdrtwienie i czyniła ich ciało nieczułym na zwykłe obrażenia.

Teraz znów nowy tam-tamista stanął z kolei, oddając swój tam-tam zjadaczowi szkła, który się zbudził z omdlenia.

Skłonił się i podskoczył; przebił sobie ostrzem oczy, wbił ostrza w policzki, w wargi, w ramiona; wbił sobie gwóźdź długi w głowę i pobijał go drewnianym młotem; stawał na ostrym skraju obróconego ostrzem miecza.

Z ostrzami, sterzcącymi z twarzy w różnych kierunkach, z oczyma wysadzonemi z orbit, jak dwie kulki, opłatywał się w pasma swych włosów, szcękając, jak pies.

Dziecię patrzyło wciąż na niego z uwagą, i dymy kadzidelne wzbijały się chmurą w podwórku.

DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× Polskie biuro prasy w Paryżu wydało p. t. „Prusy i Polska, ankieta międzynarodowa, zorganizowana przez Henryka Sienkiewicza”, (*Prusse et Pologne, enquête internationale, organisée par Henryk Sienkiewicz*) książkę, obejmującą opinie świata cywilizowanego o prawie pruskim, mającym na celu wywłaszczenie polaków. Odpowiedzi na ankietę jest w tej książce 254, a pisali je uczeni, literaci i inni znakomici ludzie wszystkich narodów na kuli ziemskiej. Są tam nazwiska takie, jak: Ardigo, Blondel, Brentano, Claretie, Flammarion, Frouillé, Gide, de Gubernatis, Guyot, Léger, Levasseur, Lombroso, Loria, Murmowce, Passy, Pogodin, Rostand, Saint-Saëns, Solvay, Tołstoj, Van der Velde, Stead i t. d. Odpowiedzi drukowane są w językach oryginalnym, a więc po francusku, włosku, angielsku, czesku, rosyjsku i niemiecku. Jeśli nie wszystkie, to bardzo znaczna ich część umieszczona była w naszych pismach; wiemy zatem, iż są one — za wyjątkiem kilku — jednym głosem oburzenia przeciw prawu, które, zdaniem Lombrosa, jest „tanto più crudele, che è stupida” (tem okrutniejsze, że głupie). Są też wśród tych odpowiedzi referaty naukowe, dotyczące stosunku Niemiec do polaków i słowna w ogólności. Książka ta jest ważnym przyczynkiem do historii kultury europejskiej w w. XX-ym.

Z literatury niemieckiej.

× Vincent Blasco Ibañez. „Cienie katedry”. Bohater tej powieści, Gabryel Luna, potomek rodziny, która przez cztery wieki przeszło służyła katedrze w Toledo „w ogrodzie, w zakrystyi, lub w krużgankach chóru”, powraca do miasta rodzinnego złamany, konający, w nadziei, że brat jego, Esteban, stróż kościel-

ny, da mu schronienie u siebie, że będzie mógł spędzić ostatnie dni „w cieniu wielkiej katedry”. Gabryel, wzór pilności i dobrego sprawowania za lat chłopięcych, oddany został do seminarium i miał być księdzem; ale po burzliwych dniach rewolucyi wrześniejiwej, ogarnięty nienawiścią klerykałną do rządu i sprawy republikańskiej, ucieka z seminarium i przyłącza się do jednej z band karlistów, „walczących za sprawę Boga”. Po ukończeniu wojny, Gabryel nie korzysta z amnestyi, lecz, pragnąc zwiedzić obce kraje, udaje się do Paryża, gdzie znajduje zajęcie korektora w drukarni. Książki Renana, które czyta skwapliwie, szybko niweczą wiarę młodzieńca; znajduje on nową religię w anarchizmie filozoficznym typu Elisée Reclus’a. W następstwie spędza ciężkie lata na propagandzie społecznej w Anglii, we Włoszech i Barcelonie; ostatecznie, niesłusznie posądzony o uczestnictwo w rzucaniu bomb, Gabryel zostaje aresztowany, uwięziony i dostaje się na tortury w fortecy Montjuich. Gdy odzyskuje wolność, dwa lata strasznej atmosfery w „skrzynce kamiennej” dokonały swego dzieła: Gabryel, trawiony suchotami, jest cieniem człowieka. Ścigany przez policję, wędruje z miasta do miasta o prozonym chlebie, aż wreszcie powraca do Toledo, gdzie Esteban daje mu ostatnie schronienie, ukrywając starannie przed władzą kościelną fakt, że brat jego i głośny „towarzysz Luna”, osławiony przez dzienniki, jest jednym i tym samym człowiekiem. Książka p. Ibaneza, jednego z najciekawszych nowoczesnych powieściopisarzy hiszpańskich, szwankuje może pod względem artystycznym, ale jest zato pełna prawdy w opisach licznych pokoleń, żyjących „w cieniu katedry”, wskreślaniu pojęć i umysłowości przedstawicieli wszystkich hierarchii kościelnych, od skromnego dzwonnika do arcybiskupa — na tle historii narodowej. Powieść ma właściwie dwoje bohaterów — Gabryela i katedrę, któ-

ra po dniach, pełnych chwały, dzieli upadek całego kraju.

Z literatury skandynawskiej.

× Marion Crawford. „Biała siostra”. („The white sister”). Powieść ta ukazała się w krótkim czasie po śmierci autora. Niema w niej pogłębienia charakterów, niema poważniejszych zatargów duchowych, ale jest zajmująca fabuła, która może przykuć uwagę czytelnika. Autor opisuje dzieje młodej dziewczyny, która pada ofiarą podstępów, zostaje pozbawiona znacznego spadku po ojcu, skutkiem kradzieży testamentu i wstępuje do klasztoru. Chora, którą pielęgnuje, zdradza, w majaczeniach gorączkowych, tajemnicę, władze duchowne pozwalają na odwołanie ślubów klasztornych i bohaterka łączy się z ukochanym.

TREŚĆ NUMERU 35-go.

Emilia Plater. Wacław Gąsiorowski.
Marzyciel. Władysław St. Reymont.
Stratonika. Juliusz Zeyer.
Ogród Allaha. Robert Hichens.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosił z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chotoniowski. Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie